

# Kronika tygodniowa.

Aczkolwiek, kończąc poprzednią kronikę, obiecywałem solennie, iż urządzę wywiad aktualny z dryndą, która jeździła mi właśnie po głowie, skończyło się przecież na niczem, a to z dwu powodów.

Po pierwsze, pan metrapaź, który jest bardziej nieublaganym, niż najsurowszy cenzor, oświadczył, że miejsca już brak, a wyrok ten, tak w czasie pokojowym, tembardziej zaś w wojennym, jest nieodwołalny, po drugie zaś, choćby nawet ostatecznie i miejsce się znalazło, drynda-jubilatka nie chciała nic gadać, automedon zaś, wzięwszy w garść szóstki, popatrzył najpierw na nie, potem na mnie i rzekł krótko, a dobitnie:

— Za mało!

Ten styl tacytowski podziałał na mnie, aczkolwiek lubię lapidarność, zwłaszcza, o ile rozmawiam z kobietami, odparłem więc również krótko, a wężłowato:

— A taksa?

Nie podobało mu się widocznie moje odezwanie, z grymasem niezadowolenia zwrócił mi moje nikłówki i dodał:

— To jedź se pon takśa, a nie dryndą! Kto nie mo hopów, niech łązi na piechty...

Zaciął kobyłę, również jubilatę, ze zerwanemi nogami, niczem stara baletnica i odjechał, a ja zostałem na miejscu, jak owa góra, od której odszedł Mahomet. Przysłowie mówi wprawdzie, że on przyszedł do góry, skoro jednak tam się znalazł, musiał zrobić i odwrót, bo chyba do dziś dnia tam nie siedzi.

Pomyślałem sobie przecież, że dorożkarz ma rację i poszedłem piechotą na zwykłą konferencję przy bombce pilznera za dwadzieścia centów. Trzeba bowiem wiedzieć, iż jako posłuszny małżonek postępuję ściśle według wskazówek mej lepszej połowy, a ona codzień nawołuje mnie kilka razy do oszczędności. Obliczyłem zaś, że wobec podrożenia piwa na wielkiej i małej szklance jednomiernie o dwa hałerze, pijąc bombami, dopłacam do litra tylko dwa centy, małemi natomiast aż trzy. Przy końcu miesiąca obliczę, ile w ten sposób udało mi się zaoszczędzić i kwotę tę przeznaczę ewentualnie na jakiś cel dobroczynny, n. p. na wsparcie dla tych dobrodziejek, które, wobec nie urządzania w tym roku loteryi fantowych na cele dobroczynne, nie mogą w łatwy sposób zaopatrzyć się w prowianty świetlane.

Rozmawiamy zaś, jak się każdy chyba domyśla, o wojnie, a na porządku dziennym są łodzie podwodne. Można powiedzieć bez przesady, że dziś każdy polityk i strategik ma w głowie co najmniej jedną łódź podwodną z załogą i torpedami, opowiadano mi nawet niedawno, iż jednemu z nich śniło się, że cierpiał na morską chorobę, tak się przejął opowiadaniem o bitwach na morzu, a rano obudził się zupełnie mokry... naturalnie z przestrawu.

Bo też te obecne wojny niczem nie są podobne do swych poprzedniczek, tem się zaś różnią głównie od nich, że teraz na placu boju, czy on jest na lądzie, morzu, czy w powietrzu, nie nie widać. Flota pływa pod powierzchnią wody, niby śledzie, armia lądowa zakopała się w ziemię, naśladując krety, lotników nie widać także, gdyż szybują w przestworzach, jak orły. Słowem, gdyby tak na przykład wstał z grobu s. p. Andrzej Kmicic i, zobaczywszy grubą Bertę, porównał ją z ową kolubryną szwedzką, którą pod Częstochową rozsądził workiem prochu, mówiąc: „Naści piesku kielbasę!“, musiałby przyznać, że tej tak łatwo nie dałby rady!... Dziś nie pomogłyby nawet fortele imć. pana Onufrego Zagłoby, który wogóle byłby niezadowolony, nie mając pod ręką dla zwilżenia gardła smacznego miodku, jeno zwykłą wodę! A choć w owym czasie nikomu się jeszcze o higienicznych zarządzeniach flżykatu nawet nie śniło, mądry chłop, wiedział, że wody pić się nie powinno, bo można się nabawić jakiegoś paskudnego chorobka.

Jest więc o czem mówić, a trzeba się spieszyć, gdyż o godzinie dziesiątej, a najpóźniej jedenastej wieczorem, z rozporządzenia komendy kawiarni i restauracye muszą zamykać swe gościnne podwoje.

Na przemian, jeśli już braknie materiału wojennego, mówi się o nowej ewakuacji i aprowizacji. Jest to temat, choć bardzo niewdzięczny, przecież niewyczerpany!

Jedną ze znajomych pań, która, pomimo swej pokaźnej tuszy i poważnej liczby lat, od rana do wieczora obchodzi w kamienicy wszystkie piętra i lokatorów, przenosząc z miejsca na miejsce różne sensacyjne wiadomości (tak zwana poczta pantoflowa), konferując ze mną onegdaj na schodach w tej sprawie, zauważyła całkiem słusznie:

— Oho! Ja się stąd nie ruszę, choćby się tam nie wiem kto postawił nawet na głowie!... Ja nie potrafiłabym wyżyć bez Krakowa. Gdyby mnie tak umieszczono w jakich barakach, panie, jabym nawet i za miesiąc nie obesła wszystkich lokatorów, a muszę sobie przecież z każdym chwilę pogadać i dowiedzieć się, co nowego. Tu, w Krakowie, to zupełnie co innego. Codzień odwiedzam wszystkich znajomych w kamienicy. Ci mi powiedzą to, tamci owo, resztę dopowie służąca, tam zaś byłby człowiek, jak ta tabaka w rogu!

Swoją drogą, trzeba przyznać, iż o tej nowej ewakuacji tyle gadano i takich potworności, że na człowieku aż skóra cierpnie, skąd wziąć tyle monety i zapasów, by powiedziano:

— Możesz siedzieć, bo masz dość!

Najbardziej zirytowały się teściowe, dowiedziawszy się, że nie liczą się w myśl rozporządzenia do najbliższej rodziny. „Siostrzana pomoc“, towarzystwo ich, założone niedawno celem obrony wspólnych interesów (jestem jego członkiem honorowym, muszę się pochwalić), radziło nad tą sprawą przed kilku dniami i powzięło jednomyślnie następujące wnioski:

1) Zauważa się, że autorem rozporządzenia musi być albo stary kawaler, albo, co gorsza, człowiek żonaty, ale nie uznający należycie powagi władzy domowej, która od Boga jest postanowiona.

2) Teściowe oświadczają, iż praw swych bronić będą rękami, nogami i wszystkimi innemi częściami swego ciała i dopóty nie spoczną, dopóki nie wywalczą sobie należytego uznania i miejsca, jakie im się z wieku i urzędu należy w rodzinie.

Co się mnie tyczy, nie radziłyby nikomu z niemi zaczynać, bo się to może źle skończyć. Ja się boję walczyć z jedną, a cóż dopiero z całą organizacją! Tutaj nawet Herkules nie da rady!

Ze względu na spokój w fortecy wskazanem jest przecież jak najrychlejsze wyewakuowanie ich poza granice miasta.

A jest i trzeci punkt porządku dziennego tych obrad, mianowicie kłopoty i zmartwienia, jakie niejednego, a może nawet i każdego z nas, czekają *ex re* zbliżających się świąt Wielkiejnocy.

Na swej własnej skórze już tego doświadczyłem. Przed kilku dniami przychodzę do pewnego znajomego domu, gdzie bywam dość często i zastaję samą panią.

Skoro mnie spostrzegła, z radości zaświeciły się jej oczy, jak kotowi do sperki, i zawołała:

— Ach! Jak to dobrze, że pan przyszedł, bo mego męża niema w domu!...

W pierwszej chwili zgłupiałem, zaczęli mi się kręcić po głowie Józef wraz z Putyfarą, potem przed oczyma przesunęło się groźne widmo mej kochanej żoneczki z trzepaczką w ręku, polechtany jednak mile w swej własnej miłości, starałem się zrobić minę jak najprzyjemniejszą.

A ona mówiła jeszcze raz:

— Ach! Jak to dobrze!...

Zbliżyłem się ku niej, ująłem ją za rękę, złożyłem na niej gorący, a długi pocałunek i, wpatrując się w nią, jak w tęczę, cieszyłem się w duchu, że człowiek widocznie nie jest jeszcze takim ostatnim niedołęgą, jak to stale utrzymuje moja żona.

— Więc pani się naprawdę cieszy, widząc mnie tutaj? — zapytałem czule.

— Naturalnie! — odparła z pospiechem, przezywając mnie wzrokiem, jak strzałą... — Wie pan, męża niema, musi go pan zastąpić...

— O pani! — przerwałem. — O ile tylko będzie to w mej mocy! Postaram się jednak, by pani była ze mnie zupełnie zadowolona...

— Jaki pan pocziwy! Ja powiadam, że niema to, jak prawdziwy, a wypróbowany przyjaciel domu...

— Boję się przecież, by małżonek...

— El!... Co tam małżonek! On panu osobiście podziękuje.

— Osobiście?!.. Wolalbym, nie! Bo ja, przyznam się, nie dziękowałbym za coś podobnego...

— Jak to pan rozumie?

— Jak?... A pani dobrodziejka jak?

— Ja, widzi pan, chciałam pana prosić, aby pan był tak grzeczny i pomógł Kasi zdjąć franki, bo trzeba je dać do prania przed świętami. Męża mego niema, sama boję się wylążyć na stół, aby nie spaść, bo cierpię zawroty głowy, dziewczce nie pozwolę tego także zrobić, gdyż niezgrabna. Podartaby mi franki, a dopiero tamtego roku kupione!... Spadł pan więc, jak z nieba!

Teraz, to już zbaraniałem kompletnie, zrobiłem, co mi kazano, dałem sobie jednak słowo, że w okresie porządków przedświątecznych nie odwiedzę żadnego znajomego domu, chyba, że przekonam się, iż, albo mąż jest, albo franki dane już do prania. I ja cierpię także na zawroty głowy, dlatego nie

jeżdżę do Zakopanego, nie mam więc ochoty spinać się po stołach i krzesłach...

U siebie w domu nawet tego nie robię, wolę dać stróżowi szóstkę, by mnie zastąpił w tej ważnej czynności familijnej.

Niejedną przecież nieprzespaną noc mają ojcowie rodzin do zawdzięczenia tym świętom, nie też dziwnego, że wspominają o nich bardzo często.

— Skąd tu wziąć? — to pytanie powtarza się często, odpowiada na nie jednak tylko echo. Wszyscy są bezradni.

Co najwyżżej ktoś poważnie zauważył:

— Z próżnego i Salomon nie należy!

— Daj się wypchać ze swą filozofią! — słyszy na to taką replikę.

Gada się więc, jeśli nie o wojnie, to o ewakuacji. Jeśli zaś nie o nich obu, to o zbliżających się świętach, rzadko tylko monotonię tę przerwie jakieś ważniejsze zdarzenie, n. p. kupienie sobie nowego kapelusza przez któregoś ze znajomych. W te ciężkie czasy na podobny zbytek może sobie pozwolić tylko człowiek, który ma pieniądze, jak łód.

Gdy się pokazał w nowym „dętku“ i do tego Skórczewskiego firmy, stał się od razu przedmiotem gorących owacy.

— Panowie! — bronił się. — Dajcie mi spokój! Nie zasłużyłem na to!... Nie kupowałem długi czas kapelusza, ale miałem powód do tego! Moja żona oburzona była na mnie, że chodzę w takim starym pudle i zapowiedziała, iż, dopóki nowego sobie nie kupię, nie wyjdzie na spacer, bo wstyd ją publicznie się ze mną pokazywać!... Ja się tam o to nie gniewałem wcale i nie kupowałem, wreszcie sprzykrzyło się starej i sama mi zafundowała taki dęty instrument na głowę!

— Toś pan podwójnie szczęśliwy! — zawołał mi chorem. — Wobec tego wypada oblać nowy kapelusz, by się lepiej nosił.

— Już obłany! — bronił się jeszcze. — Ja chodzę z zasady bez parasola, a dziś właśnie deszcz. Skoro jednak chcecie... Panie Janie!... tyle bombek, ilu nas jest! Ale dla mnie proszę zagrzaną!...

W ten sposób urozmaicamy sobie monotonię życia, krzepimy się wzajemnie na duchu i zagrzewamy do szlachetnych czynów, do których, nikt nie wie, jak i kiedy może być powołanym! Taka tu jednogłośność, że niech ktoś powie, ot tak, ze żartu: „A możeby tak teraz po kieliszku karpato-wej?... To dobrze zrobi przed obiadem!“ — nie znajdzie się ani jeden głos, któryby zaoponował.

Co najwyżżej, powie ktoś:

— Dla mnie, Władziu, zamiast karpato-wej, ztyńówkę!... Tę z Brzezia!

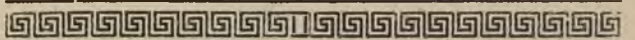
Gdyby nasi dziadowie i ojcowie byli sobie brali z nas przykład, nie bylibyśmy dziś w tak opłakanym, jak jesteśmy, położeniu, każdy bowiem musi przyznać, że właśnie niezgoda nas zgubiła.

Cała jednak nadzieja, że już niedługo, bo mniej więcej za sto lat zmienią się obecne stosunki, naturalnie na lepsze.

Jak bowiem zapewnia papa Edison w wywiadzie z jakimś amerykańskim dziennikarzem, nazwiskiem A. F. Berson (może to wynalazca obcasów gumowych?... przyp. zecera), jest już na drodze do wynalezienia recepty, jak robić sztuczne złoto. Dzieścię cetnarów metrycznych ma kosztować tylko sto dwadzieścia pięć koron.

Pozatem ludzie będą latać w powietrzu z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i bez obawy wywrócenia koziółka, co, jak wiadomo, jest mniej przyjemnem, nikiel zastąpi papier i drzewo, a maszyny tak się ulepszy, iż wystarczy z jednej strony rzucić do otworu żywą świnię, z drugiej, po zakręceniu korbą i naciśnięciu odpowiedniego guzika, wylecą gorące kielbaski z chrzanem, kiszka z kapustą, wędzonka z grochem i tym podobne delikatesy.

Co zaś najważniejsze, wobec coraz to doskonalszych wynalazków technicznych, wojna stanie się niemożliwą, nastanie więc wieczny pokój, nie będzie także ubogich, a każdy dziad dzisiejszy będzie w stanie płacić za wszystko złotem i to własnego wyrobu!...



## Jasna głowa

zapoznaje się szybko z odmiennymi stosunkami mącznymi i używa stale do wszystkich potraw mącznych proszku do pieczenia dr. Oelkera. Wojenna mieszanina żytniej i pszenicznej mąki etc. nadaje się na smaczne, lekko strawne leguminy, jeżeli używa się proszku do pieczenia dr. Oelkera, przez lekarzy polecanego środka, zastępującego drożdże. Specjalne przepisy otrzyma każda Czytelniczka tego pisma z instytutu chemicznej kuchni domowej dr. A. Oelkera, Baden koło Wiednia, darmo i opłacone. Jako leguminy wojenne „par excellence“ uznane są przez wszystkie jasne głowy puddingi z proszkiem dr. A. Oelkera.